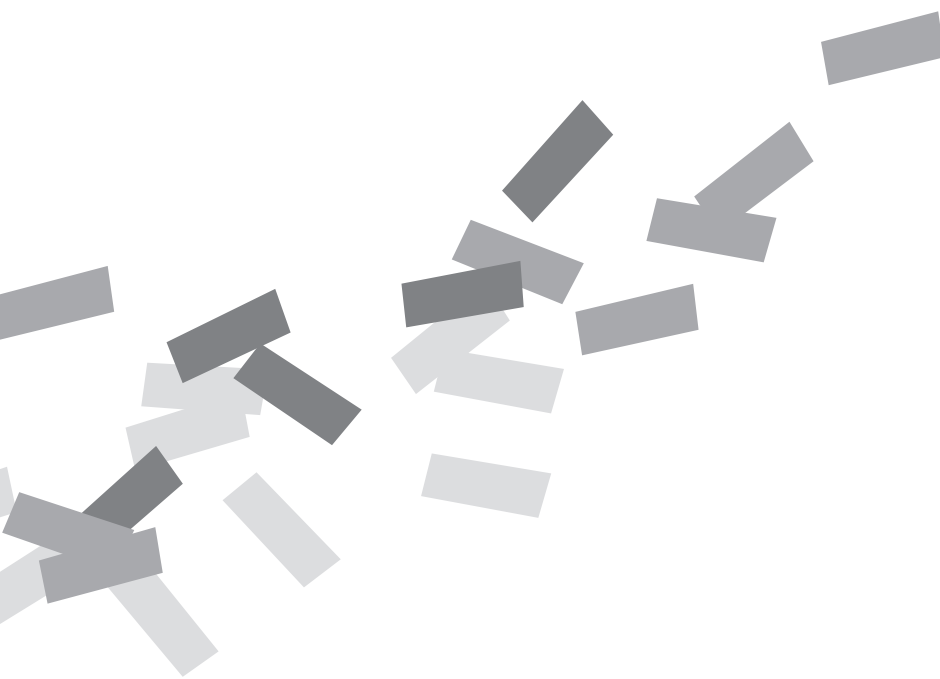


PAWEŁ BERĘSEWICZ



NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright for this edition by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2018

© Copyright for the text by Paweł Beręsewicz, 2018

Projekt okładki *Monika Pollak*

Rozdział czwarty

– O, widzę, że dziś wtorek lub czwartek. Dzięki za przypomnienie.

– Jak to?

– Zawsze sprawdzam, czy stoisz, i jak stoisz, to wiem, że jest wtorek albo czwartek.

– Tak? A ja cię już nigdy po tym pierwszym razie nie widziałem.

– No bo ja się tak trochę chowałam.

– Dlaczego?

– Nie chciałam przeszkadzać. Taki zajęty zawsze jesteś.

– No co ty! Mógłbym ci dać ulotkę. Zawsze byłbym parę groszy do przodu.

– A co dzisiaj rozdajesz?

– Sushi.

– Naprawdę takie dobre, jak piszą?

– Nie wiem. Może byśmy poszli sprawdzić...

Tak by było idealnie (no, może sushi można by zastąpić czymś tańszym). Gorzej jeśli to ja musiałbym zagadać.

– O, znowu jesteś – powiedziałbym pewnie, gdyby jeszcze kiedyś wzięła ode mnie ulotkę.

– Znowu? – mogłaby się zdziwić.

– Jak to znowu?

- No, tak jak wtedy?
- Kiedy?
- No wtedy. Slimomix. Nie pamiętasz?

Zmarszczone czoło, pusty wzrok, wzruszenie ramion – musiałem przyznać, że to nie był niemożliwy scenariusz.

Tymczasem skończył się luty, potem minął marzec, a wśród tysięcy twarzy, które w tym czasie przepłynęły mi przed oczami, ani razu nie było Rudej. Nie wrócił też smętny agent, nie powtórzył się atak i tak czwartek po wtorku, wtorek po czwartku, bez większych przygód rozdawaliśmy namiary na wszywanie suwaków, awaryjne otwieranie aut, odzyskiwanie należności i konsultacje astrologiczne w biznesie.

Nadal oczywiście nie rozstrzygnęło się, kto trzydziestego maja wystąpi w finale Ligi Mistrzów, ale po rewanżowych meczach jednej ósmej stało się jasne, że nie będzie to Ajax, Arsenal, Chelsea ani Dynamo Kijów. To ostanie przegrało z Liverpooliem aż zero do pięciu i Jacek tak się nakręcił, że przez trzy dni chodził po szkole z czerwonym szalikiem. Nie obyło się też bez niespodzianek. Pierwszą było to, że po dwumeczu z AS Romą odpadła sama Barcelona. Drugą – że bilety na finał dostępne będą tylko dla nielicznych wybrańców, którym poszczęści się w losowaniu.

– W losowaniu?! – wrzasnął Uszatek, kiedy któregoś dnia Bartek mimochodem napomknął o tym drobiazgu.

– A co myślałeś? – obruszył się Bartek. – Przecież wszyscy by się nie zmieścili. Muszą jakoś wybrać tych, którym sprzedadzą bilety. Wiedziałybyś, gdybyś się trochę zainteresował, zamiast cały czas gadać o tych swoich krawatach.

To był klasyczny przykład obrony przez atak. Uszatek od kilku dni bardzo aktywnie wspierał internetową akcję Antykrawat. Chodziło o zwrócenie uwagi społeczeństwa na to, jak wiele produkujemy i gromadzimy przedmiotów, które nie są do niczego potrzebne. Krawaty – przekonywali antykrawaciarze – ani nie ogrzewają, ani nie ochraniają, ani nie zakrywają. Są symbolem trwonienia kreatywności na rzeczy bezużyteczne. Żeby otworzyć ludziom oczy, organizatorzy akcji zachęcali do publikowania na swoich profilach facebookowych pomysłów na praktyczne wykorzystanie krawata. Pokrowiec na wędkę, ochrona krzewów przed mrozem, smycz, skakanka, lina wspinaczkowa – to tylko najbardziej oczywiste zastosowania proponowane przez internautów.

Uszatek osobiście i przez internet zadreżczał nas prośbami o wsparcie kampanii i rzeczywiście mieliśmy tego dosyć, ale to ani trochę nie zmieniało faktu, że Bartek nie powiedział nam o losowaniu.

Otoczyliśmy go więc z trzech stron, przyparliśmy do ściany i mieliśmy takie miny, że chyba się przestraszył, bo podniósł ręce, jakby chciał się osłonić od ciosów.

- No co? No czego chcecie? – bąkał.
- Mogłeś nam powiedzieć – wycodziłem przez zęby.
- Mówiłem.
- Nie mówiłeś.
- Mówiłem.
- Mówił wam? – spytałem.

Uszatek i Jacek stanowczo zaprzeczyli, co zmusiło Bartka do kontrataku.

– Przecież to oczywiste, że wszyscy nie dostaną – burknął. – Trzeba trochę myśleć! Albo regulamin przeczytać, a nie tylko czekać, aż was ktoś za rączkę poprowadzi!

Zgodnie z regulaminem UEFA każdy kibic miał prawo złożyć zamówienie na imienną wejściówkę dla siebie i jednej osoby towarzyszącej. Ponieważ można było się spodziewać, że liczba chętnych znacznie przewyższy liczbę miejsc, szanse na sukces w losowaniu przedstawiały się raczej mizernie. Od czasu, kiedy Bartek po raz pierwszy zasiał w naszych głowach przypuszczenie, że obejrzenie finału na żywo nie jest absolutnie wykluczone, ziarenko rozrosło się, nabrało ciała i stało dorodnym marzeniem. O ile jeszcze niedawno wizja piłkarskiego wieczoru przed telewizorem z kumplami, colą i popcornem wydawała się nie lada atrakcją, tak teraz na samą myśl o niej żal serce ścisnął. Dlatego też złość na Bartka trzeba było odłożyć na bok i ratować marzenia. Przez trzy dni omawialiśmy tę sprawę na wszystkich przerwach i ostatecznie postanowiliśmy, że kiedy przyjdzie termin zapisów, każdy z nas złoży własne zamówienie, wpisując jako osobę towarzyszącą kogoś z pozostałej trójki, ale w ten sposób, żeby kombinacja się nie powtórzyła. I tak ja miałem złożyć zamówienie na bilet dla siebie i Jacka, Jacek dla siebie i Uszatka, Uszatek dla siebie i Bartka, a Bartek dla siebie i dla mnie. Dzięki tej przebiegłej zagrywce szanse każdego z nas wzrastały dwukrotnie, podobnie jak nasza wiara, że nie ma takiego Systemu, którego nie dałoby się pokonać dzięki sprytowi, przyjaźni i lojalnemu współdziałaniu. Znow mogliśmy całą energię skierować na pozyskiwanie funduszy.

Bartkowi i Uszatkowi ulotki rozchodziły się jak darmowe cukierki w markecie. Może dlatego, że zamiast rozpraszając się rozglądaniem za półmitycznymi istotami, skupiali się na pracy i rozdawali pełną parą. Kiedy po skończonej robocie szliśmy do szkoły, na ich twarzach zawsze malowała się satysfakcja. Opowiadali branżowe dowcipy i przerzucali się przechwałkami, w których wte i wewte fruwały rekordowe sumy. Do tysiąca ulotek dziennie wprowadzie trochę im brakowało, ale i tak dla mnie ich wyniki to były liczby nieosiągalne. Kiedy przyparty do muru przyznawałem się, ile rozdałem, robili zatroskane miny, a potem natychmiast mnie pocieszali, że zostało jeszcze sporo czasu. Na szczęście miałem Świętego. Przy jego osiągnięciach moje wyglądały imponująco. Prezentował niepowtarzalny styl kolportażu. Rozdawał ulotki z miną pasera sprzedającego kradzione zegarki. Trzymał towar przy ciele, jakby jednocześnie próbował go wyeksponować i ukryć przed niepowołanym wzrokiem. To on oczywiście pod koniec pracy zostawał z najpokaźniejszym stosikiem zwrotów.

– No bo skąd mam wiedzieć, czy te tipsy naprawdę są tak mocne jak pazury pantery? – tłumaczył się potem lekko zakłopotany. – Ja tak nie mogę. Ja chyba sobie odpuszczę.

– O rety, Święty, weź ty się ogarnij! – wściekał się na niego Bartek. – Tu nie o żadne sripsy chodzi, tylko o Ligę Mistrzów! Wbij to sobie do tego pustego łba!

– O Ligę i o przyjaźń – dodawał Uszatek. – Pamiętasz? Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Razem pracujemy i razem idziemy, taka była umowa. A ty tu teraz jakieś fochy strzelasz. Chcesz wszystko zepsuć? Chcesz zdradzić

najlepszych kumpli? Odebrać to, o czym marzyli? To niby takie moralne jest?

Milkiśmy wszyscy taktownie i zostawialiśmy Jacka sam na sam z jego skomplikowaną duszą, a ona kotłowała się, rozciągała, wykręcała, aż wszystkie zaostrome patyki kłujące ją od środka układały się jako tako i pozwalały dalej żyć.

– Poza tym te panie ze Świata Paznokci też muszą jakoś zarabiać, nie? – mówił w końcu z nadzieją, a my entuzjastycznym chórem odpowiadaliśmy:

– Dokładnie!

Tak to jakoś wspólnymi siłami udało się przeprowadzić Świętego przez mroki zwątpień i doholować szczęśliwie do początku kwietnia, kiedy przypadał ostateczny termin zgłoszeń do losowania biletów na finał Ligi Mistrzów.

* * *

– No to ile macie? – spytał Bartek, ale nikt nie chciał spowiadać się pierwszy.

Był piątek, lekcje się skończyły, ale jeszcze nie szliśmy do domu. Po raz pierwszy tej wiosny porządnie przygrzało słońce i aż się chciało posiedzieć przed szkołą na murku, który wykrawał z betonowej pustyni niewielką przestrzeń życiową dla starego klonu.

– A ty ile? – odparował Uszatek.

Obaj z Bartkiem mieli się za neymarów kolportażu. Zdawali sobie sprawę, że nie ma lepszego sposobu rozstrzygnięcia, kto jest większym neymarem, niż porównanie zarobków. Stąd ich zrozumiały stres.

– Ty pierwszy – upierał się Bartek.

– A dlaczego ja? – pytał Uszatek.

– Bo ja załatwiłem robotę.

– No i co z tego?

– A właśnie, że to z tego.

W końcu Uszatek dał za wygraną i z pewnym niepokojem powiedział:

– Sześćset pięćdziesiąt cztery złote i siedemdziesiąt dwa grosze.

– Co?! – wrzasnął Bartek. – Dołożyłeś z kieszonkowego, tak?

Uszatek aż poczerwieniał z oburzenia.

– Jak dołożyłem? Nic nie dołożyłem! Ani grosika! – Grzmocił się pięścią w mostek, aż kości trzeszczały.

– A! – przypomniał sobie Bartek. – Bo ja raz byłem chory i nie rozdawałem. No tak, to by się zgadzało. Ja mam sześćset czterdzieści osiem. Gdybym wtedy był, to miałbym więcej.

– A skąd wiesz? – zaniepokoił się z kolei Uszatek.

– Po prostu. Jak dodać do...

– Dobra, nieważne – przerwał im nagle Jacek. – Tak czy siak, mamy za mało kasy. Wam przynajmniej niewiele brakuje, ale ja mam tylko trzy stowy. Trudno – chciałem, próbowałem, nie udało się. Nie wiem jak wy, ale ja się wypisuję. Zresztą moim zdaniem w telewizji i tak lepiej widać.

Kropla optymizmu zawarta w tym ostatnim zdaniu, zamiast osłodzić smak klęski, dodała mu jeszcze goryczy. Z pewnością zrobiłoby mi się żal Świętego, gdyby nie to, że cały zapas współczucia zużyłem na siebie. Moje czterysta sześć złotych to było wprawdzie trochę więcej niż jego trzy stowy,

ale i tak brakowało tyle, że to nie miało żadnego znaczenia. Oczywiście już wcześniej wiedziałem, ile mam w portfelu. To, że nie zdołam zbierać potrzebnej kwoty, od kilku tygodni wyglądało na raczej pewne. Tylko że prawdziwemu marzeniu „raczej” w zupełności wystarczy. W niepozornym „raczej” można zmieścić dowolny ładunek nadziei.

– Ja też odpadam – powiedziałem ponuro, kiedy przysły ostatnie złudzenia.

* * *

Od przystanku do domu wlekliśmy się z Jackiem w całkowitym milczeniu. Bartek z Uszatkiem, zanim po wyjściu z metra poszli w swoją stronę, zademonstrowali na nas cały swój dar przekonywania, który ich zdaniem tłumaczył sukcesy w branży reklamowej. Kusili, mamili, grozili, zawstydzali. Jakbyśmy sami nie wiedzieli, że na finale Ligi Mistrzów może być fajnie. Jakbyśmy nie rozumieli, że na następny taki mecz w Warszawie w najlepszym razie doczekamy się dopiero na emeryturze. Cwaniaczki. To do moich czterech stów należało przemawiać. Je namawiać do podwojenia się. Ciekawe, czyby posłuchały. Na koniec Bartek życzliwie poradził nam, żebyśmy w maju uważnie oglądali finał w telewizorze, bo na trybunach pokażą transparent z napisem: „Pozdrawiamy frajerów, którzy mogli tu być, ale woleli zostać w domu”.

Na naszej uliczce w błotnistych kałużach roztopionego śniegu przeglądały się wesołe obłoki, w gałęziach drzew ptaki dostawały wiosennego amoku, a na grządkach za płotami przeróżne zieloności budziły się do życia, które było tak

bardzo przereklamowane. Przed furtką Jacka powiedziałem cześć, on też cześć i dopiero wtedy rozpaczliwie rzuciłem:

– Właściwie to i tak nie ma szans w tym losowaniu.

– Więc? – mruknął Jacek.

– Więc może by się jednak zapisać – myślałem na głos.

– I tak nas nie wylosują, a przynajmniej Bartek z Uszatkiem nie będą się czepiać.

– A jak wylosują? – spytał ponuro.

– Nie wylosują.

– A jak wylosują?

– Czyli że nie, tak? – westchnąłem.

– Cześć – powiedział Jacek i zniknął za furtką.

Słyszałem jeszcze, jak coś burknął do Kalosza, który radośnie obszczał go na powitanie.

* * *

Kiedy człowiek uświadamia sobie, że nie obejrzy na własne oczy finału Ligi Mistrzów, życie traci sens. O ile wcześniej każda czynność, każdy ruch palcem, każdy oddech, nawet jeśli nie prowadził do celu, to przynajmniej wypełniał czas pomiędzy chwilą obecną a meczem, o tyle teraz właściwie nie było po co oddychać. Niepotrzebnie siedziałem w pokoju, niepotrzebnie próbowałem wziąć się do lekcji, niepotrzebnie mi się nie chciało, więc niepotrzebnie gapiłem się w kąt na zmiętą w kulkę kartkę papieru, która najwyraźniej nie doleciała do kosza na śmieci. Choć równie dobrze mogłem tego nie robić, schyliłem się, podniosłem kartkę i rozprostowałem, bo niby czemu nie. A! To ta mapa z Google'a z nabazgraną soczewką i te trzy kropki – trzy

licea w pobliżu Patelni. „Li-ce-um Za-moy-skie-go” – wpisałem w wyszukiwarkę komputera, żeby się czymś zająć. Znalazłem stronę na Facebooku, a na niej żarty, przechwałki i ogłoszenia – a przede wszystkim zdjęcia. Oglądałem jedno po drugim, zjeżdżając w głąb przeszłości przez kolejne warstwy minionych chwil. Wycieczki, konkursy, przedstawienia, studniówki – z każdej fotografii uśmiechały się dzieciątki młodych twarzy, a ja patrzyłem im w oczy i szukałem zielonych, lekko drwiących, trochę ostrożnych, a trochę zaczepnych. Zjechałem trzy lata w głąb i rozczarowany wróciłem na powierzchnię – jeżeli Ruda chodziłaby teraz do Zamoyskiego, nie byłoby sensu szukać na niższych pokładach. Swoją drogą w ogóle nie było sensu szukać, co oczywiście nie znaczy, że nie szukać był sens.

Jakby mi brakowało zmartwień, przypomniałem sobie, że miałem zanieść spodnie do skrócenia. Na szczęście niedaleko. Do dziadków. Mama pożaliła się babci, że kupiła dla mnie za długie i nawet chciała zwracać, ale babcia powiedziała:

– Po co zwracać? Jak mi Filipek podrzuci, to skrócę.

Nie chciało mi się okropnie, ale co poradzić. Otworzył dziadek z Czipsem. Babcia robiła coś w ogrodzie. Położyłem dżinsy w przedpokoju i chciałem od razu iść, ale żeby nie było, że traktuję dziadków jak zakład krawiecki, zapytałem:

– I co tam, dziadek, słychać?

– A, nic specjalnego – powiedział. – Ostatnio dla pewności powtórzyłem to doświadczenie z karmnikiem. Tym razem na dębie w rogu. Już chyba wiem, które ptaki są najodważniejsze.

– Tak? Które?

– Czyżyki. Dziobią już metr nad ziemią.

Czips uznał, że powitanie skończone, i wrócił do swoich zajęć w głębi domu, a ja mruknąłem złośliwie:

– To może są po prostu najgłupsze, a nie najodważniejsze.

– Myślisz? – zasępił się dziadek. – Może i racja. A masz pomysł, jak to zbadać?

Westchnąłem ciężko i powiedziałem:

– A co za różnica, dziadek?

– Stało się coś? – spytał. – Jakiś markotny jesteś.

Mruczałem, krzywiłem się, stękałem, ale w końcu powiedziałem, jak jest. I o finale, i o losowaniu, i o tym, że za ulotki marnie płacą, i w ogóle, że życie mnie nie rozpieszcza. Na to dziadek wyskoczył z pożyczką.

– Ile ci brakuje? – spytał.

– Nie no, dziadek, co ty – bąknąłem niepewnie. – Wiesz, jak by mi się oberwało od mamy, że cię na kasę naciągam?

– Przecież mnie nie naciągasz – oburzył się dziadek. – Ja za ciebie założę, a ty oddasz, jak zarobisz. Kiedy ten mecz? W maju? Uzbierasz do maja?

Przez jedenaście tygodni rozdawania ulotek zebrało mi się niewiele ponad czterysta złotych. Wciąż brakowało około trzystu. Do meczu zostało mniej więcej osiem tygodni, więc gdyby udało mi się utrzymać dotychczasowe tempo wpływów, powinienem zgromadzić, ile trzeba – nawet z niewielką nadwyżką na hot doga w przerwie. Tylko że po drodze były jeszcze święta, jeszcze jakaś wycieczka, a nuż jakaś – odpukać – choroba albo inna niespodziewana okoliczność

– niejeden wtorek i czwartek mógł przez to wypaść z grafiku. Z drugiej strony zawsze istniała szansa wzięcia nadgodzin. W poniedziałki mogłem sobie odpuścić angielski na dwóch pierwszych lekcjach. Anglista wyraźnie dał do zrozumienia, że moja obecność na zajęciach nie jest absolutnie konieczna. Zresztą i tak to wszystko prawdopodobnie było bez znaczenia, bo nie mieliśmy szans w losowaniu. Kiedy to sobie tak wszystko po cichu układałem w głowie, dziadek wyjął skądś portfel i znowu zapytał:

– Ile?

Zacząłem tłumaczyć, że gotówki mi na razie nie trzeba. Wystarczy w zamówieniu podać numer karty kredytowej i jeśli się wygra losowanie, to pieniądze same się ściągają, a jeśli się nie wygra, to nic się nie stanie. No, chyba że wygrałby ten z moich kolegów, z którym byłbym na jednym zgłoszeniu. Wtedy rzeczywiście musiałbym poprosić o pożyczkę w gotówce, żeby oddać koledze, a z dziadkiem rozliczyłbym się tak, jak dziadek zaproponował.

– Ale trochę łyso od was pożyczać – podsumowałem.

– Przecież oddasz – przekonywał mnie dziadek.

– Tylko to trochę potrwa.

– Poradzimy sobie jakoś.

No to co: miałem się nie zgodzić? Myślę, że dziadkowi nawet byłoby przykro.

* * *

Jacek zdziwił się na mój widok. Powiedziałem dziadkowi, że zaraz wrócę, więc biegłem w sprinterskim tem-

pie. Mój splotycony oddech zapowiadał sprawę szczególnej wagi.

– Zapiszmy się – wysapałem, od razu przechodząc do sedna. – Dziadek obiecał, że mi pożyczycy. Oddam, jak zarobię. Też możesz pożyczyc. Pogadaj ze starymi.

Rodziców Jacka z pewnością stać było na taki wydatek, a bardzo mi zależało, żeby go wciągnąć do spółki. Po pierwsze, składając dwa podwójne zgłoszenia, mogliśmy zwiększyć szanse w losowaniu. Po drugie, gdyby Jacek się zgodził, łatwiej by mi było przekonać samego siebie, że nie postępuję nieodpowiedzialnie. Jemu w końcu brakowało jeszcze więcej niż mnie.

– Nie, wołę nie – skrzywił się Jacek, choć w jego głosie wyczułem pewne wahanie.

– No weź, fajnie będzie! – naciskałem.

– Wiem, ale raczej nie.

– Ale następna taka okazja to w najlepszym razie na emeryturze.

– I tak się rodzice nie zgodzą – bąknął i już wiedziałem, że go mam.

– Spytaj! – kusilem. – Co ci szkodzi?

– Nie ma sensu.

– Spróbuj, najwyżej ci nie pożyczą.

Westchnął ciężko i łypnął, jakby to była moja wina, że jednocześnie chce i nie chce.

– No dobra. – Machnął w końcu ręką. – Poczekaj chwilę.

Zniknął w głębi domu, a ja zostałem na schodkach. Patrzyłem na kuchenne okno, w którym pojawiły się obie

bliźniaczki, młodsze siostry Jacka. Rozpłaszczyły na szybie nosy i języki, próbując zrobić na mnie wrażenie coraz straszliwszymi minami. Zatrząsałem się z przerażenia i zasłoniłem twarz rękami. Aż się za brzuchy łapały ze śmiechu.

Jacek wrócił jeszcze bardziej naburmuszony, niż kiedy wchodził do środka. Wyraźnie nie chciał patrzeć w moją stronę.

– Zgodzili się – burknął kwaśno. – Będę tego żałować.

Choć bardzo pracował nad ponurym obliczem, nie umiał ukryć blasku przezierającego przez gradowe chmury.

Dziadek trochę się zdziwił, że ma założyć aż za dwa bilety, ale szybko go przekonałem, żeby się nie martwić. Po pierwsze oczywiście szansa na sukces w losowaniu była minimalna, mimo że podwojona dzięki naszej sprytnej zagrywce. Po drugie, nawet jeśli jakimś cudem wygrałbym losowanie, Jacek miał zapewnioną gotówkę na bilet i przyniósłby mi ją natychmiast, żebyśmy mógł oddać dziadkowi. Ja ze swej strony zapłaciłbym to, co już udało mi się zarobić, i tylko na resztę ceny mojego biletu musiałby dziadek poczekać do maja. Gdyby z kolei to Jacek został wylosowany i płacił za bilety z karty swoich rodziców, zwróciłbym mu moje trzy stowy plus resztę, którą, jeśli dziadek byłby tak miły, pożyczylbym od niego, a później spłacił z tego, co w przyszłości zarobię.

– Nic nie rozumiem – przyznał dziadek z uśmiechem. – Ale najważniejsze, żebyś ty rozumiał. To co? Idziemy do komputera?

Tego wieczora na serwery UEFA wpłynęły zapewne setki tysięcy zamówień na bilety na finał Ligi Mistrzów. O czte-

rech wiemy na pewno: od Bartłomieja Kozłowskiego, który zamierzał zabrać ze sobą Piotra Sztorca, od Piotra Sztorca, który zamierzał zabrać ze sobą Bartłomieja Kozłowskiego, od Filipa Kojtysa, który zamierzał zabrać ze sobą Jacka Świąciaka, oraz od Jacka Świąciaka, który zamierzał zabrać ze sobą Filipa Kojtysa.

* * *

W nocy zadzwonił do mnie Cristiano Ronaldo. Spytał, czy przyjdę na finał z Bayernem Monachium. Powiedziałem, że bardzo bym chciał, ale niestety nie mogę, bo muszę rozdawać ulotki reklamujące nową metodę rozwiązywania równań z czterema niewiadomymi, więc sam Ronaldo rozumie, jaka to odpowiedzialność. Ronaldo błagał, żebym jednak przyszedł, bo beze mnie na trybunach Real w życiu nie poradzi sobie z Bayernem. Stanowczo odmówiłem, więc zaoferował, że pójdzie za mnie rozdawać ulotki, bylebym tylko pojawił się na stadionie. Ostatecznie dałem się uprosić. Kiedy siedziałem w łoży dla VIP-ów, a Ronaldo stał na Patelni, podeszła do niego rudowłosa dziewczyna i spytała, gdzie jest ten miły chłopak, który pracuje tu w każdy wtorek i czwartek. „Po co ci jakiś chłopak, skoro jestem ja?” – zapytał Ronaldo, na co dziewczyna zmierzyła go wzrokiem i odparowała: „Bo ja mam wysokie wymagania, panie Ronaldo”.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: naszaksiegnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

*Książka została wydrukowana na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.*

ZING

Redaktor prowadzący *Katarzyna Piętka*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Korekta *Anna Sidorek, Ewa Mościcka*
Redaktor techniczny, DTP *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-13391-5

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2018 r.

Wydanie pierwsze

Druk: POZKAL, Inowrocław